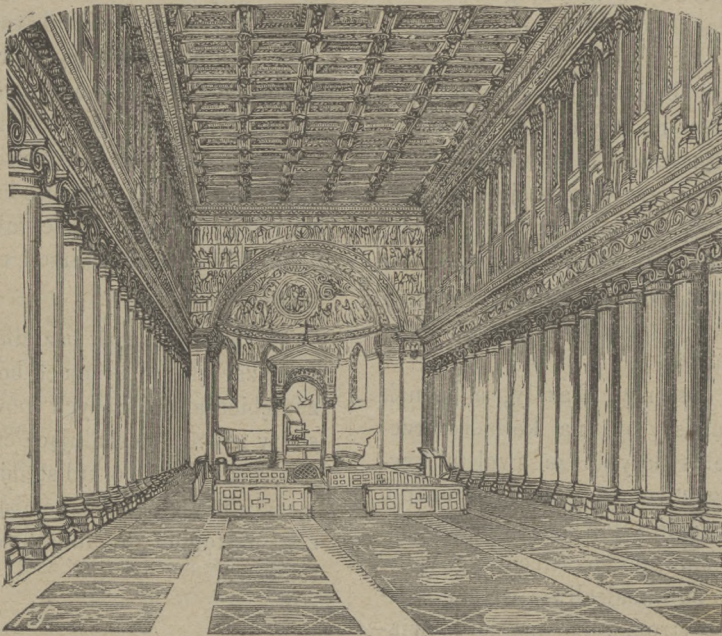




## CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½. *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamieńskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr. **Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to-Krzyzka Nr. 14.**

**Treść.**—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem), przez M. J. Z —Worek Judaszowy, przez Z. Morawską, (dokończenie).—Ziarnka moralności, (z drzeworytem).—Wzór do rysunku, (drzeworyt).—Moja pieczętka, (powieść historyczna), przez Teresę-Jadwigę, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łmigłówni.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Śpiew.



Wnętrze bazyliki Sta Maria Maggiore.

## POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

## VIII.

## Bazylika rzymska.

Gdy chrześcijanie przestali się ukrywać w podziemiach i mogli już jawnie cześć oddawać prawdziwemu Bogu, nie myśleli zrazu o wznoszeniu nowych świątyń. Oni Boga czcili w duchu i prawdzie, według nauki Chrystusowej, nie potrzebowali więc budować osobnych do tego gmachów. Nie mieli nawet wielkiego wstrętu do świątyń pogańskich i często odprowadzali w nich nabożeństwo, umieściwszy krzyż w miejscu bałwanów. Ale świątynie te niezbyt były do tego dogodnie; już dawniej wspominaliśmy, że u pogan kapłani tylko mieli wstęp do przybytku bóstwa, u chrześcijan przeciwnie każdemu wolno zbliżyć się do ołtarza i być świadkiem przenajświętszej ofiary. Woleli więc chrześcijanie obrać sobie na miejsce wspólnej modlitwy gmachy innego rodzaju, bazyliki, izby sądowe rzymskie, gdzie także zgromadzali się kupcy, dla spraw handlowych.

Były to wielkie budowle czworokątne, podłużne, podzielone na trzy części w kierunku długości. Przestrzeń, czyli nawa środkowa, musiała mieć mury wynioślejsze, bo inaczej nie możnaby w niej urządzić okien, w głębi zaś miała półkulistą niszę, gdzie zasiadali sędziowie, lub urzędnicy targowi. Dwie boczne nawy oddzielone były zazwyczaj kolumnami.

Taki gmach obszerny, okazały, a jednak prosty, stosowniejszy był na kościół chrześcijański, aniżeli świątynie ze swojemi kryjówkami i bogactwem pogańskich ozdób. W środkowej nawie ustawiano ołtarz, w głębi zasiadali kapłani, po bokach chóry, a w nawach bocznych zgromadzali się wierni, mężczyźni po jednej stronie, po drugiej niewiasty. Wejście główne bazyliki ozdobione było także kolumnami, a przed tém wejściem, czyli portykiem, rozciągał się czworokątny dziedziniec, murem otoczony, zwany *atrium*, mający po środku fontannę.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa i nowe kościoły budowano na wzór tych dawnych rzymskich bazylik, zaprowadzono w nich jednak pewne zmiany; nawy boczne, idące od przodu, nie były doprowadzone aż do końca, a za to z dwóch stron ołtarza, od chórów, dodano dwie nawy poprzeczne, rozchodzące się jak ramiona krzyża.

Rysunek nasz przedstawia wnętrze wspaniałej bazyliki, zwanéj S<sup>ta</sup> Maria Maggiore. Zbudował ją w pierwszej połowie V stulecia Papież Sykstus III; na materyał budowlany posłużyły mu szczątki dawnej świątyni Junony. Nawa środkowa oddzielona jest od bocznych dwoma rzędami przeslicznych kolumn jonickich, z białego marmuru wyciosanych; ściany, wznoszące się ponad tę kolumnadę, pokryte są bogatemi rzezbami i zdobami, które pochodzą z czasów późniejszych. Dawniej architektura pięknego tego gmachu odznaczała się wielką prostotą.

Najwięcej pięknych starożytnych bazylik przechowało się w Rzymie. Jedna z najwspanialszych, zbudowana przez cesarza Konstantyna w IV wieku, pod wezwaniem Ś-go Pawła, spalona była całkowicie w roku 1823, odbudowano ją wprawdzie na nowo według dawnego planu, zawsze jednak nowy ten budynek jest tylko naśladowaniem pierwszego i zastąpić go całkowicie nie może. Do najdawniejszych zaliczają bazylikę Ś-go Jana Laterańskiego, gdzie, jak niesie podanie, Papież Sylwester ochrzcił cesarza Konstantyna.

Pierwotny kształt bazylik zmieniał się powoli; zaczęto w ścianach bocznych dodawać zagłębienia, z których powstały kaplice, a sufitry równe, naśladowujące architekturę grecką, zastąpiono półkulistemi arkadami, które łączyły nawy pomiędzy sobą. Wywiązał się ztąd następnie zupełnie nowy rodzaj architektury.

M. J. Z.

## WOREK JUDASZOWY.

(Dokończenie).

— To on naprawdę był dzielnym człowiekiem, kiedy tak do pracy zachęcał, bo przecież i tatko zawsze powiada, że kto tylko może i jak może, powinien pracować i być użytecznym społeczeństwu, a nawet tatko mówił, że chcąc, ażeby kraj się z bogacił, to powinniśmy się uczyć rzemiosł i zajmować handlem, a nawet obiecał, że mnie każe uczyć stolarstwa, żebym oprócz innych nauk znał także i rzemiosło.

— Tak, mój kochany, dziś to już doskonale rozumiemy, że każda praca czyni z nas ludzi pożytecznych krajowi, to też coraz więcej zaczynamy się garnąć do tej pracy. Ale przed 300 laty, kiedy kraj miał ziemi ogromne obszary i potrzebował obrony granic, część ludności, posiadająca rolę, zwana w ogóle szlachtą, uważała sobie za ubliżenie, żeby się czém innym zajmować, jak gospodarstwem wiejskiem lub wojną; każdy więc był rolnikiem-żołnierzem, i trzeba przyznać, że spełniał swój obowiązek należycie. Lecz że za Klonowicza wielu opuściło ręce, a on, zasiadając na urzędzie miejskim, widział jakie się robiły nadużycia z powodu, że cały handel i przemysł pozostawał w ręku cudzoziemców, a do spełniania urzędów powoływani byli ludzie, na których wiele nie można było rachować, żywo na to powstawał, naganając mieszczanom, że handel z rąk wypuszczają, a szlachcie, że nie stoi na straży pomysłowości narodu, lecz dąży do wywyższenia się i ucisku słabszych.

— To czemuż on, mateczko, nie podał sposobu, jakby temu zaradzić?

— Zdaje ci się, moja córko, że to tak łatwo. Zwykle wszyscy przyganiać umiemy, dawać rady również, aby jednak podać właściwy sposób do przeprowadzenia rzuconej przez nas myśli, trzeba na to oddzielnych zupełnie zdolności. Klonowicz więc widział, że źle się dzieje, wyszydział to złe, ale o podawanie sposobów zaradzenia nawet się nie kusił. Przeczuwał on potrzeby swego społeczeństwa, widział złe i

i pragnąc naprawy, kreślił swe myśli i uwagi w formie wierszowej. Karciał więc, ale nie prowadził.

— A jakimże sposobem, mateczko, doszły jego pisma do nas, kiedy były na stosie palone?

— Nie mówiłam ci przecież, moja Andziu, że wszystkie jego pisma zostały spalone, lecz tylko niektóre, między innymi bardzo obszerny łańcowski poemat pod tytułem: *Victoria Deorum, Zwycięztwo bogów*, inne zaś pisma Klonowicza krótko przed jego śmiercią zostały wydane, a oprócz „Worka Judaszowego,” który nam całą tę rozmowę nasunął, napisał po polsku: *Pożar, upominanie do gaszenia*, w którym jest bardzo wiele rad i przepowiedni dla kraju i „*Żale na śmierć Kochanowskiego*,” ale utwory te nie mają w sobie prawdziwej poezji, brak w nich natchnienia, znać, że autor dobierał rymy, aby nadać formę wierszowaną, i to właśnie jest jego wadą. Za to celuje on w opisach, z nadzwyczajną miłością podaje obrazy ziemi naszej, wychwalając jej piękność; w tém ma wielką zasługę i za to śmiało nazwać go można poetą narodowym.

— Mamuniu, to niech nam mama co kiedy przeczyta z takich opisów.

— O, niedawno się ze mnie śmiała, że chcę czytać *Worek Judaszów*, a teraz prosisz mamy, żeby ci dała do przeczytania Klonowicza.

— Ale to zupełnie co innego, mój Stefcu; w *Worku Judaszowym* mówią o złych ludziach, a w tych innych pismach Klonowicz opisuje kraj nasz, to musi być bardzo ładne.

— Tak, moja córko, opisy te rzeczywiście są bardzo piękne, forma ich jednak nie jest dla każdego przystępną, i dziś więcéjby cię znudziły aniżeli zajęły. Kiedyś, jak dorosniesz, przeczytamy to razem i wtedy będziesz mogła łatwiej zrozumieć piękne myśli, nawet pod mniej ponętną formą. Teraz dosyć wam wiedzieć, że Klonowicz oprócz tego co wymieniłam, pisał jeszcze wierszowany *Pamiętnik królów polskich*, doprowadzając go aż do Stefana Batorego.

— To jednak niemało się napracował, jeżeli opisał wierszem panowanie każdego króla!

— Nie myśl, mój kochany, żeby każde panowanie było opisane obszernie; o każdym królu skreślił czterowiersz, jak oto ten, który mi został jeszcze z lat dziecinnych w pamięci:

Dwanaście stryjów wraz otrul wtóry Popiel,  
I w Gople ich jeziorze przyległemu potopił.  
Wyszły myszy z onych ciał, Popiela opadły,  
Z dziećmi, z żoną bezbożną do szczerza go zjadły.

— Moja mamuniu, doprawdy tego zrozumieć nie mogę, czemu Klonowicz, który zaraz pisał po Kochanowskim, mniej był od niego cenionym. Przecież czytałam, że Kochanowski także naganiał złe obyczaje w swoich satyrach, a jednakże był bardzo lubiony przez współczesnych; czemuż więc na Klonowicza tak się uwzięli?

— Bardzo mię to cieszy, moja Andziu, że zastanawiasz się nad tém, co czytasz lub ci opowiadają, bo tym sposobem dużo skorzystasz. Widzisz więc, moja córko, Kochanowski pisał o tém tylko, co go otaczało; opowiadał chwilę obecną, dotykając czasami lepszej przeszłości; w satyrze skarcił jakąś wadę, ale nie czepiał się żadnej warstwy społeczeństwa; kiedy tymczasem Klonowicz, jak wam to mówiłam, nie bacząc ani na urząd, ani na stanowisko, śmiało wypowiadał błędy szerzące się w narodzie. Szlachta, która poprzednio rozumiała znaczenie swęj nazwy, służąc z całą szlachetnością i poświęceniem krajowi, przy końcu panowania Batorego i za Zygmunta III zaczęła już dążyć do samowładztwa, przywłaszczania sobie swobód i praw z uciskiem innych, a opuszczając ręce w służbie krajowej, powoływała się tylko na dawność rodów. Powstawał przeciw temu Klonowicz, powstawał ostro, wypowiadał myśli niezgodne z duchem czasu, to jest z wyobrażeniem narodu, i dla tego przez współczesnych nie mógł być oceniony. Tak więc widzicie, moje dzieci, te kilkanaście lat, które przedzielały Klonowicza od Kochanowskiego, zrzuciły w kraju znakomite zmiany, a więc i nasz *Acernus* musiał na inny ton zaśpiewać.

— Dla czego mamunia powiada na Klonowicza, *Acernus*?

— To nie ja na niego tak powiadam, ale on sam siebie tak nazwał; a dla czego? wytłómacz nam, Stefciu, bo przecieżeś ty łacinnik, uczysz się tego języka i duże nawet robisz postępy.

Chłopiec na tę pochwałę aż się zarumienił.

— *Acernus*, *Acernus*? powtarzał. Ah wiem! *Acer* to znaczy *Klon*! Aha, to on się tak z łacińskiego *Acernus* przezwał!

— A tak, mój synu, bo wówczas był zwyczaj, że uczeni i poeci do nazwisk narodowych dodawali jeszcze łacińskie.

— To był bardzo śmieszny zwyczaj.

— O, tobie to wszystko śmieszne, jak tylko czego nie rozumiesz, moja ty malutka—rzekł protekcyjonalnie Stefcio.

— Fiu, fiu! jaki mi zaraz pyszny, że go mama pochwaliła za łacinę, myśli, że bardzo rozumny; gdybym się uczyła, to i jabym też umiała po łacińsku.

— Po łacińsku! to mi dopiero powiedziała; nawet wymówić dobrze nie umiesz; oj te dziewczynki, to takie niedołąztwo! przecież nie po łacińsku, tylko po łacinie.

— Dzieci, dzieci! zaraz jedno drugie przesładuje, zamiast poprawić i nauczyć. Przypomnijcie sobie Klonowicza.

— Ale bo, moja matuniu, czemu Andzia mówi, że to był śmieszny zwyczaj, jak pisali po łacinie, to mogli się po łacinie nazywać!

— Zapewne, niema nic w takich nazwach śmiesznego, był to tylko zwyczaj, któremu bardzo wielu holdowało, tak jak i dziś niektórzy, chcąc przejść pierwszą próbę i słuchać swobodnie, co też to o ich utworach powiedzą lub napiszą, przybierają sobie inne nazwiska.

— Widzisz, ty brzydki Stefanie, mama to zaraz wytłómaczy tak, jak się należy. Ale moja mamu, jakie on okolice opisywał w tych swoich utworach?

— W poemacie łacińskim *Rovolania* opisuje piękność ziem ruskich.

— Ech, cóż mi z tego, kiedy po łacinie.

— Nie martw się tém, moja Andziu, bo *Rovolanią* przetłómaczył bardzo pięknie na język polski Syrokomla, poeta naszego wieku, który właściwie nazywał się Ludwik

Kondratowicz, a Syrokomla jest jego przybranym nazwiskiem.

— Aha, wiem, ja nawet uczyłam się jego wierszyków.

— Jakto, uczyłaś się Roxolanii?

— Ależ nie podchwytyj, mój Stefcu, wcale nie mówię o Roxolanii. Nie przerywaj mamie, mój kochany. Mamuniu, jaka to szkoda, że naszej okolicy nikt nie opisał.

— Mylisz się, moja Andziu, wioski naszej wprawdzie nikt nie opisał, ale całe Powiśle opisał ten sam Acernus, czyli Klonowicz, w poemacie swoim pod tytułem: „*Flis*.”

— Co to znaczy Flis, mateczko?

— W bardzo dawniej polszczyźnie: „*Flis*” było przezwiskiem dla tych, którzy nie lubili siedzieć na jednym miejscu, słowem oznaczało: włóczęgę; później jednak, kiedy Wisłą coraz więcej zaczęto wysyłać zboża i drzewa do Gdańska, ludzie trudniący się ich przewożeniem nazywali się Flisakami i pracą uszlachetnili nazwę, która poprzednio była w pogardzie. Otóż Klonowicz, jeżdżąc po kilkakroć do Gdańska, rozmówany w Wiśle, królówej rzek naszych, tak ją opisuje:

„Dwa bracia z siostrą w drogę się wybrali,  
Z Litwy *Niemen*, *Bug* z Wołynia zuchwały,  
I *Narew* bystra, jako siostra starsza,  
Przyszła z *Podlasza*.

Wziąwszy przymierze, bez gniewu i trwogi,  
Zazyla sobie przyjacielskiej drogi,  
W małym orszaku, co więc nie nowina,  
Zgodna rodzina.

Potem lepszego bytu chcieli użyć,  
Zachciało się im u królówej służyć,  
Co do niej płyną ze wszech stron poprzeki  
Sarmackie rzeki.

Przystali tedy do *Nowego Dworu* <sup>1)</sup>  
*Narew* i z bracią, puściwszy się toru,  
I tak służyły *Wandzie Krakusowej*, <sup>2)</sup>  
Jako królówej.

Czując do siebie *Narew* śliczną gładkość,  
Czując też w bracie siłę i też wartkość,  
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie,  
Wandalskiej wodzie.

Pani ślicznością i domem chwalebna,  
Nie chcąc być tańszą niż pauna służebna,  
Wyzwała *Narew*, chcąc ją wywieść z błędu,  
Pozwem do sądu.

Na którym usiadł strumień nie ujęty  
Do tego wolnie z obu stron przyjęty,  
Ów, co u *Gniewa* <sup>1)</sup> swemi wroty wpada,  
Wisłę roz bada.

Sędzia roztropny puścił przed się strony  
I sąd zagaił tuż u samej brony (bramy);  
Szła para panien, każda z nich z osobna  
Gwiazdzie podobna.

I długo myślił, niż wszystkie przymioty  
Wybaczył (wypatrzył) w obu i wrodzone cnoty;  
Chwilę tak okiem poglądał na obie  
Czujném o sobie.

Upatrzył sędzia, iż nad księżnę, owa  
Osobliwszego coś miała królowa.  
Jako nad leśne *Nimfy* ma *Dyana*  
W złoto ubrana.

A także zatem wnet uczynił wyrok,  
Jako sumienie świadczyło i też wzrok;  
Skazał, iż gładza królowa, rzecz ista,  
Niżli służbista.

*Narew* i z bracią wnet się rozgniewała,  
A inszą drogą płynąć się wezbrała,  
Więc miejsce sądu na brzegu, na lewém,  
Nazwano *Gniewem*.

A gdzie się *Narew* na prawo chynęła,  
A od królówej na różno płynęła.  
Pod sławny *Olbiąg* <sup>2)</sup> *Nogatem* to zową  
Flisowską mową.

— To już koniec, a dalej nic nie opisywał? to krótki ten Flis.

<sup>1)</sup> Nowy Dwór pod Modlinem, gdzie *Narew* wpada do Wisły.

<sup>2)</sup> Tak Klonowicz Wisłę nazywa, dla tego, że do niej *Wanda* miała wskoczyć.

<sup>1)</sup> Pod miastem *Gniewem* wpada do Wisły rzeka *Ferse*.

<sup>2)</sup> *Elbląg*.

— Za wiele chcesz, mój chłopcze, żebym ci całego Flisa na pamięć wypowiedziała; jest to tylko jeden z piękniejszych ustępów; Flis zaś cały jest dość długi, bo Klonowicz rozpoczyna od tego, jak Pan Bóg świat wyprowadzając z niczego stworzył i naszą ziemię, jak ją ubogacił i jacy są szczęśliwi ludzie, którzy nad brzegiem ukochanej Wisły osiedli, a opisał to niesłychanie malowniczo i obrazowo, i przyznać należy, że we Flisie najwięcej jest poezji, a przedewszystkiemi miłości dla rodzinnej ziemi.

— Matuniu, mnie jednak żal tego Klonowicza; bo on tyle się napracował, tak kochał kraj, a czytać go nie chcieli; wcale mu nie byli wdzięczni; to doprawdy i ochota odbiega od pracy.

— Że załujesz Klonowicza, zupełnie to słuszne, ale źle pojmujesz obowiązek, jeżeli ci jego przykład odejmuje ochotę do pracy. Zapewne miliej nam, jeżeli praca nasza jest ocenioną, bo tym sposobem mamy do niej zachętę; ale przedewszystkiemi, przedsięwzięciami jakąś pracę, nie powinniśmy rachować na wdzięczność, bo wtedy niknie cała zasługa; lecz pracując, powinniśmy spełniać obowiązek, jaki każdy ma dla kraju i społeczeństwa.

— Czy też Klonowicz ma chociaż jaki nagrobek, matuniu?

— Ma, mój chłopcze, bo zaraz po jego śmierci Sebastyan Kujek, mieszczanin lubelski, krewny Klonowicza, położył mu nagrobek w Lublinie z napisem łacińskim.

— A w miejscu jego urodzenia, w Sulmierzycach, niema żadnej po nim pamiątki?

— I tutaj zaspokoje cię, moja Andziu. W Sulmierzycach proboszcz tamtejszy, ksiądz Siwicki, przed kilkadziesiąt laty postarał się o to, że Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wystawiło pomnik Sebastyanowi Klonowiczowi z właściwym napisem.

— A cóż to tam za uczona rozmowa o Klonowiczu?—ozwał się nagle ojciec, który wracając powoli od gospodarstwa, słyszał koniec całej gawędy.

— Ach, ojezulek! jak to ojezulek po cichu chodzi, aniśmy się spostrzegli, kiedy stanął przy nas—zawołała Andzia, czepiając się ręki ojca.

— No i cóż, dowiedziałem się, że moja córeczka spokojnie i z uwagą słuchała opowiadania matki.

— Ale z jaką uwagą! wyobraź sobie, że musiałam im opowiedzieć cały życiorys Klonowicza—ozwała się matka.—A to wszystko tyś wywołał, obiecując wujowi *Worek Judaszowy*.

— Gotów jestem codzień jaką książkę komu obiecać, aby tak zaciekać moją malutką córeczkę.—I ojciec pocałował Andzię.

— Ojezulku, jeżeli jej się należy pochwała, to i ja na nią zasłużyłem.

— Ho, ho, przecieżes ty już duży chłopiec, toby źle było, żeby cię nie interesowali ludzie, którzy jakąkolwiek położyli zasługę dla kraju.

— Widzisz, maleństwo, sam ojciec powiada, że jestem już duży, a ty jesteś maleństwo—rzekł Stefan z pewną powagą.

— Bądź sobie duży, ale ja za to jestem pieszczoszka i mamy i tatki—odrzekła Andzia, skacząc około rodziców, którzy zdążając ku dworowi na wieczorny posiłek, spoglądali z przyjemnością na swoją ukochaną działwę.

Z. Morawska.

## Ziarnka moralności.

Wandzia była jeszcze bardzo malutka, gdy straciła obojga rodziców, chowała się więc u dziadka, który ją niezmiernie kochał, bo oprócz niej, nie miał już ani dzieci, ani wnucząt, a żona jego, babcia Wandzi, także od dawna umarła. Cóż dziwnego, że nasza dziewczynka zanadto była rozpieszczona. Dziadzio nie umiał jej nic odmówić; póki była malutką, znosił jej zabawki i przysmaczki, gdy podrosła, zaczęła lubić ładne sukienki, a ile razy jej się zachciało jakiegoś nowego stroju, dość było, ażeby tylko wspomniała o tém dziaduniowi, a natychmiast otrzymała wszystko.

Wandzia miała przy sobie zacną i rozsądną nauczycielkę; ta nieraz jej tłumaczyła,

jak to źle, kiedy kto za młodu nawyknie dogadzać sobie we wszystkim; potem coraz więcej mu się zachciewa i nigdy nie może być zadowolony z tego, co ma; powtarzała jęj także, jak zgubném dla kobiety jest zamięłowanie strojów, jaki to wstyd, jaki grzech, na takie marne błyskotki wydawać pieniądze, które mogą być na coś lepszego użyte.

Wandzia nie była zła, nie sprzeczała się z nauczycielką, słuchała z uwagą wszystkich jęj napomnień, ale w końcu zawsze pokręciła główką, wyściskała ją i mówiła:

— Moja panno Bronisławo, jak ja będę starsza, to się od tego wszystkiego odzwyczaję.

— O nic, kochanko—odpowiadała nauczycielka—później właśnie ci będzie trudniej.

Ale rozpieszczona dziewczynka przerywała jęj znowu uściskiem i biegła do dziadzi, prosząc o jakąś sukienkę, wstążeczkę lub kwiatek, bo zawsze jęj czegoś brakowało do stroju. Dziadzio nigdy nie odmówił, nigdy nawet uwagi żadnej nie zrobił, tylko natychmiast dobywał pieniądze, a Wandzia widząc, że jęj to z taką łatwością przychodzi, codziennie prawie żądała czegoś nowego i coraz kosztowniejsze miewała zachcianki.

Pewnego razu taki długi spis różnych sprawunków podała dziaduniowi, że jęj od razu musiał wyliczyć kilkadziesiąt rubli, a niecierpliwa Wandzia prosiła panny Bronisławę, żeby nie odkładając poszła z nią zaraz do magazynów. Westchnęła dobra panna Bronisława, ale cóż miała robić; pomyślała w duszy, że dziadunio postępował nierozsądnie ze swoją pieszczoszką i postanowiła pomówić z nim o tém przy pierwszej sposobności, tymczasem poszła z dziewczynką, a że dzień był bardzo piękny, więc wstąpiły po drodze do Saskiego ogrodu. Przechodząc boczną aleją, Wandzia spostrzegła dziadunia siedzącego na ławeczce z drugim sędziwym mężczyzną, w którym poznała doktora, dawnego przyjaciela domu. Dziewczynka podbiegła na palcach z uśmiechem figlarnym, chcąc zbliżyć się niepostrzeżenie z tyłu i niespodzianie dziadka przywitać. Wtém uszu jęj doleciało parę słów wymówionych przez doktora i zatrzymała się mimowoli

z sercem bijącym, dziwny niepokój ją ogarnął.

— Ależ pan strasznie zmizerniałeś—mówił doktor—w pańskim wieku nie można tak mało dbać o siebie. Zaleciłem panu przecież stare wino, ono panu zawsze służyło, nie pojmuję, dla czego pan go teraz pić nie chcesz; to prawdziwy kaprys.

— Nie kaprys, doktorze—odrzekł łagodnie dziadunio—ale nie mogę sobie na takie zbytki pozwalać. Miałem w tym roku duże straty; mój dom wymagał wielu poprawek, trzeba było wydać tysiąc rubli z górą, a tu jeden z lokatorów się wyprowadził i najdroższe mieszkanie stało przez pół roku próżne. Z kapitału nic ruszyć nie mogę, bo to posag mojęj Wandzi; dochody zaś znacznie się uszczupliły, a wydatki wzrastają.

— Ale bo też pan tę dziewczynę strasznie psujesz; ręczę, że ona sobie żadnego wydatku nie odmawia, pomimo, że się dochody uszczupliły.

— Jeszczeżby tego brakło, żeby moja kochana pieszczoszka miała sobie odmawiać jakiej przyjemności. Póki ja żyję, doktorze, na niczém jęj zbywać nie będzie; a ja stary, przywykłem od młodości obywać się bez zbytków i odmawiać sobie wielu rzeczy.

— Ależ dla dobra właśnie téj kochanej wnuczki powinienes pan zdrowie swoje szanować, bo któż jęj później tak dogadzać będzie?

Zbliżyła się tymczasem i panna Bronisława, a podsłuchawszy także słów parę z rozmowy powyższej i widząc kzy, jak groch spadające po twarzy dziewczęcia, w milczeniu wzięła je za rękę i obie cichutko się oddaliły, nie zdradzając swęj obecności przed dziaduniem.

Gdy usiadły na ławeczce w cienistej ulicy, Wandzia zalana łzami rzuciła się w objęcia zacnej nauczycielki, nie mogąc słowa wymówić.

— Spodziewam się—rzekła panna Bronisława— że ci teraz już nie tak pilno do magazynów, a ja nie potrzebuję ci prawić morałów, bo sama wreszcie zrozumiałaś to, czego ja ci wytłómaczyć nie mogłam.

— O, panno Bronisławo—wołała Wandzia szlochając—ja jestem bardzo nieszczę-

śliwa; dziadunio zachoruje przezemnie, a jakże ja już teraz to naprawię?

— Otóż to drugi nierozsądek — odrzekła nauczycielka — tego, co się stało, już nie powrócisz, łzy i lamenta na nic się nie zdadzą, a zmartwiłabyś bardzo dziadunia, gdyby się czego domyślił. Uspokój się, nie jesteś już przecież dzieckiem, zastanów się, wezwij Boga na pomoc, i uczynź mocne postanowienie inaczéj odtąd postępować.

— Ale, panno Bronisławo, dziaduniowi koniecznie potrzeba tego wina, jakże tu zrobić, żeby je kupić?

szło wino z kartką od kupca, w której przypominał się pamięci stałego swego kundmana i polecał wino do spróbowania. Dziadunio, wcale temu nie rad, chciał odesłać wszystkie butelki, ale Wandzia, jak zwykle dziecko pieszczone, powymowała je z kosza, mówiąc, że ona bardzo lubi przy obiedzie kropelkę węgierskiego starego wina, a jeżeli dziadzio tak skąpi, to ona za swoje pieniądze kupi, i żartem niby zapłaciła rachunek, śmiejąc się i wołając, że na ten raz jeszcze nie bardzo potrzebuje sukienki, a chce koniecznie dziadunia swoim winem poczęstować.



Wzór do rysunku.

— Poczekaj, obmyślimy na to jakiś sposób. Wszak te pieniądze, które chciałaś zanieść dziś do magazynów...

— Oto są, oto są, proszę je sobie zabrać, ja ich nie chcę; o mój Boże, jakże ja mogłam być tak nierozsądną.

— A więc chodźmy do tego kupca, który dziaduniowi wina dostarcza i poprośmy, żeby przysłał parę butelek, tak niby sam z siebie, w porze obiadowej, a my już jakoś sobie poradzimy.

Tak się też stało; w czasie obiadu nade-

Musiał więc dziadunio rad nie rad wypić kieliszek za jej zdrowie, ona także pokosztowała troszeczkę i wszystko się załatwiło.

Ale dziadunio spostrzegł wkrótce, że w usposobieniu Wandzi zaszły jakieś niewytłomaczone zmiany. Zamiast myśleć ustawicznie o strojach i sprawunkach, ona teraz ciągle pamiętała o potrzebach dziadunia, o jego wygodach, a jeśli spostrzegła, że sobie czego chciał odmówić, pótý nalegała, aż postawiła na swoim.

— Panno Bronisławo — rzekł raz staru-



szek troszkę niespokojnie – co to się stało mojej dziewczynce kochanej? taka się jakaś zrobiła poważna, nie jej się nawet nie zachciewa, od dawna mię nie prosiła ani o sukienkę nową ani o żadną błyskotkę. Czy nie chora czasem Wandeczka?

— Jakto teraz dopięro? albow jój przedtém brakowało czego?

A wtém wbiegła Wandzia, która usłyszała tę rozmowę z drugiego pokoju i klękając przed dziadzią i całując czule jego ręce, rzekła ze wzruszeniem:



O tak, dziaduniu, jestem bardzo szczęśliwa. str. 361.

— O nie, nie, bądź pan zupełnie spokojny - rzekła nauczycielka z uśmiechem - nasza dziewczynka właśnie teraz dopięro jest zupełnie zdrowa na siele i duszy, i szczęśliwa zupełnie.

— O tak, dziaduniu, jestem bardzo szczęśliwa. Dawniej całe szczęście zakładałam na własnej przyjemności, na dogadaniu sobie we wszystkiém; byłam nierozsądna, a ty, dziadziu, zanadto byłeś dobry dla mnie; ale

przekonałam się, jak wielką słusność miała panna Bronisława, gdy mi powtarzała, że samolubstwo nie daje wewnętrznego zadowolenia, a dogadzanie sobie we wszystkiém rodzi tylko coraz nowe pożądanja. Przestałam być dzieckiem, dziaduniu, i ty, proszę cię, przestań mię za dziecko uważać.

— Ale cóż to wszystko znaczy, co się stało, z kąd ci te myśli przyszły do głowy?—pytał jeszcze dziadunio.

— Nie pytaj pan—rzekła panna Bronisława—nie się nie stało, tylko przyszła chwila zastanowienia, Wandzia zrozumiała swoje obowiązki i przekonała się, że tylko ich spełnienie może dać prawdziwe szczęście i spokój wewnętrzny, sprawdziły się na niej piękne słowa Zbawiciela: *Królestwo Boże nie przyjdzie z hałasem, i nie powiedzą: oto tu jest, albo tam, bo Królestwo Boże wewnątrz was jest.*

## MOJA PIESZCZOTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

**Terese-Jadwigę.**

(*Dalszy ciąg*).

Michał szarpnął wasa.

— A jak radzić?—zapytał z miną zafrasowaną.

— Ot, posłuchajcie, ja już wszystko obmyśliłam: Najprzód każecie oba mosty zamknąć — poczęła Irenka — poczem przystawicie do murów drabiny, aby ludzie mogli łatwo na nie się wdrzeć; przygotujecie strzelby, naboje i każecie pachołkom uzbroić się, trzeba być gotowym na wszystko... Jankowi i Walkowi, bo to najdzielniejsze chłopcy, powiecie, aby na basztach czuwali; gdy wroga zobaczą, to niech nam dadzą znać natychmiast.

Stary Michał słuchał uważnie i głową potakiwał.

— A toście dalibóg, panienczko, na chło-

pea się urodzili—rzekł, gdy Irenka mówiła przestała.—Wódz byłby z was dzielny do prawdy, niedarmo, niedarmo strzelać mi kazano na wasze przybycie.

Irenka uśmiechnęła się.

— Tylko matce o niczém nie mówcie, proszę was, poco ma się gryźć zawczasu, a rozkazy spełnijcie co do joty.

— Niechybnie—odparł puszkarz i złożywszy ukłon głęboki, jakby przed samym kasztelanem, na dziedziniec podążył, gdy tymczasem Irenka, wsunawszy się cicho do sieni, zaryglowała drzwi ostrożnie; poczem na palcach, by matka jój kroków nie posłysziała, skierowała się do swej izdebki.

Białe łóżeczko już było gotowe do snu, nad niem wisiął obraz Matki Najświętszej z Dzieciątkiem Jezus i lampka kolorowa, w srebrném naczyniu umieszczona, płonęła przed nim, wieńce zielone i palmy stroiły obrazek. Irenka uklękła przed tym ołtarzykiem, zmówiła króciutką ale serdeczną modlitwę, poczem zdjawszy tylko kontusik, rzuciła się na łóżko; bała się rabusiów, bo nuż zbójcy zaskoczą, myślała. Leżąc, wsłuchiwała się w gwary dziedzińca i wpatrywała w okienko; po za krzewami rozmarynu i róż, które na niem stały, widać było przesuwające się cienie mężczyzn, głuchy hałas dolatywał z dziedzińca; Irenka domyślała się, że to Michał wypełnia jój rozkazy. Po godzinie uciszyło się wszystko; jak kazała pieszczołka tak też uczyniono; zamknięto mosty, nabitó broń, dwór przybrał postać wojowniczą, dawne czasy mogły się przypomnieć starym dębom, co rosły na wzgórzu. Znużona nasłuchiwaniem, Irenka usnęła twardo i nie zbudziła się, aż kiedy słońce zajrzało przez szyby do jój pokoiku. Noc minęła zatem spokojnie, podniosła się żwawo, obmyła twarz zimną wodą, uczesała warkocze i włożywszy kontusik, biegła właśnie do matki, aby się dowiedzieć, jak spała, gdy zdało się jój, iż w izbie czeladniej słyszy płacz rzewny; zamiast do matki, tam się przeto skierowała. Nie mylił ją słuch, zaledwie drzwi uchyliła, przypadła do jój nóg Marysia, wczorajsza przodownica, z jękiem, ze łzami:

— Panuńciu — mówiła — zbójce już są u nas, wczoraj pono napadli dwór pana z Mi-

łocinie, zamordowali starego dworzanina, co im bronił wejścia do alkierza, dziedzica wyciągnęli z łóżka, związali i zabrawszy skrzynię z kosztownościami, uciekli do naszych lasów.

— Cicho, cicho Marysiu—uspokajała Irenka—cicho, bo matka jeszcze usłyszy; ona słaba, rozchorować się może. Nam zbójcy nic nie zrobią, mosty zamknięte, bramy opatrzone, a do chat ubogich oni nie zajrzą pewno, bo tam złota niema.

— Przeklęty Niemiec—mruzczały tymczasem inne kobiety.

— Chciałbym, żeby do nas spróbowali zajrzeć—odezwał się jeden z parobków i wywinął w powietrzu strzelbę, której jeszcze nie zdjął z nocy.

— Ot, jaki mi zuch z niego—odezwała się Marysia, ocierając oczy.—Nie wywołuj ty wilka z lasu.

Chłopak się roześmiał.

— Nie bój się—rzekł—wypłoszymy go niezadługo. Całą noc chodziliśmy po dziedzińcu—dodał, zwracając się do Irenki—i czekaliśmy, żeby Janek lub Walek krzyknął „idą!“ Ale ani jeden nie pokazał się; może téj nocy lepiej będzie.

— To też spoczniście, abyście nocą znowuż czuć mogli; Jankowi i Walkowi powiedźcie, iż teraz odejść mogą.

To powiedziawszy, pieszczotka do matki pośpieszyła.

Przez dzień napaści nie było co się lękać, bo Kafunek nocą tylko czynił wycieczki; więc Irenka cały dzień z matką spędziła, przędąc z nią razem, gawędząc o ojcu, o Wołochach. Kasztelanowa zapomniała całkiem o zbójcach, raniem przyniósł jój posłaniec pani Pożarskiej pomyslnie wieści: wojewodzina kazała sąsiadce powiedzieć, że mąż do niej pisał, jako hetman Tarnowski stoczył już jedną potyczkę, bardzo pomyslną, w której zamek Gwoźdź zdobył, że kasztelan zdrów zupełnie, że wojska już dotarły do Obertyna. Uspokojona temi wieściami, gawędziła z córką wesoło, opowiadała jój różne zdarzenia bitew, w jakich mąż jój brał udział, a pieszczotka słuchała z zajęciem. I dzień biegł im jak jedna chwilka; lecz kiedy wieczór się zbliżył, Irenka namówiła

matkę, by wcześniej niż zwykle udała się na spoczynek; poczem widząc ją uspioną, wybiegła na dziedziniec, wydała rozporządzenia, obesła baszty; a gdy wszystko znalazła w porządku, udała się do swéj izdebki. Późno już było, więc rzuciła się na łóżko, by snem pokrzepić się nieco i sen niebawem skleił jój powieki. Jak długo spała, tego nie umiałaby powiedzieć, gdy nagle głuchy jakiś hałas ją zbudził; zerwała się z pościeli drżąca, blada zarzuciła na siebie sukienkę i wybiegła do sieni. Na dziedzińcu słychać było bieganie, krzątanie się ludzi, odsunęła z gorączkowym pośpiechem zasuwę, odemknęła drzwi i wyszła za próg; w ganku spotkała się z Michałem.

— Szedłem zobaczyć, czy drzwi dobrze zaryglowane—rzekł stary.—Wróćcie, panieneczko, do siebie, siedźcie spokojnie, Janek dał znak, że zbójce idą. kazałem chłopcom zabrać strzelby i stanąć pod murem, przywitamy ich porządnie; niechaj tylko który głowę pokaże.

— To i ja pójdę z wami—rzekła Irenka. Stary głową pokiwał.

— A to na co, a to po co. Pani kasztelanowa zbudzi się, nie znajdzie was w izbie i nastraszy się; niech panienka lepiej idzie do niej i razem posiedzi.

— Ja do mamy Marysię posłę, a z wami pójdę—odparła Irenka.

— Toż nam kłopotu sobą narobicie.

— Kiedy tak, to pójdę na basztę, wam Janka przysłę, a sama patrzeć będę na bitwę... ja w izbie nie wysiedzę.

Michał ruszył ramionami, ale już się nie opierał, wiedząc, że z pieszczotką nie łatwa sprawa; był zresztą spokojny, że na baszcie równie będzie bezpieczna, jak w izbie; więc mruknął tylko coś pod nosem i oddalił się, a Irenka uśmiechnawszy mu się wdzięcznie, pobiegła do izby czeladniej i kazała Marysi sięść obok alkowy matki.

— Gdy się przebudzi i o mnie zapyta, to mię przywołasz—rzekła—będę na baszcie wschodniej.

Tak rozporządziwszy, skierowała się następnie na wschody do baszty wiodące, zawołała Janka, kazała mu iść strzelcom pomagać, a sama jego miejsce zajęła.

Głucha cisza panowała w powietrzu: na wielkiej równinie, rozścielającej się naprzeciw dziewczęcia, nic widać nie było, mgły spowiły ziemię, zdawało się, że świat cały w obłokach utonął, nad głową i pod stopami Irenka widziała tylko białe mgły, lecz w górze między obłokami migotały gwiazdy, na ziemi zaległa ciemność. Dziewczęciu się zdało, że chyba Janek się pomylił. Wtém posłyszała jakiś szmer, dolatujący z prawej strony, spojrzała tam, a wtedy zdało się jej, iż w fosie otaczającej mur widzi jakieś cienie. Gdy się lepiej przypatrzyła, cienie przybrały wyraźniejsze kształty, po chwili już ani wątpiła, że to są ludzie. Trzech wdrapywało się na wał, kilku kręciło się w fosie, kilku zsuwało dopiero do niej, a na równinie, o kilka kroków od fosy, widać było jeden cień nieruchomy, największy ze wszystkich. Dreszcz trwogi przebiegł dziewczynę; spojrzała na dziedziniec, szukając wzrokiem Michała; stary już przygotował wszystko: na drabinach, opartych o mur, stali strzelcy ze strzelbami w rękę, nareszcie i jego samego dojrzała. Na środku dziedzińca zobaczyła wzniesienie sztuczne z desek i beczek, a na niem puszkarza, rozpatrywał zapewne okolice. Poznała wysoką, wyprostowaną jego postać, długie wąsy spadające mu na piersi, to ją uspokoiło... Podniosła wzrok w niebo, zmówiła króciutką modlitwę do Boskiej Opatrzności, poczem znowu zbójców wzrokiem odszukała. Już ci, co na wał się wdzierali, dostali się nań, a dwóch nawet podłazłszy pod mur przystawiło drabinkę, potem weszło na nią. Już, już jeden dosięgał szczytu, gdy od środka dziedzińca rozległ się głos potężny:

— Józiek, ognia! — i jednocześnie prawie jeden z chłopców stojących od strony dworu, pod murem, na drabinie, podbiegłszy wyżej, strzelbę przechylił ku wdzierającemu się, strzał wypadł, a z nim napastnik stoczył się z drabiny. Między bandą rabusiów wszczął się popłoch. Ci, co stali nad fosą, cofnęli się; ci, co byli w niej, wdzierać się poczeli ku równinie; wszyscy chcieli uciekać. Wtém rozległ się głos:

— Wracać, kto umykać będzie, temu łeb roztrzaskam!

I zatrzymały się cienie, zawahały i napowrót ku fosie posunęły. Wówczas ten, który stał dotąd nieruchomy, a który jak się zdawało rozkaz wydał, począł je ustawiać. Pięciu ludzi zatrzymał koło siebie i strzelby ku murom kazał im wymierzyć, innym iść pod nie z drabinami. Niebezpieczeństwo wielkie groziło, ale nie stracił odwagi Michał.

— Chłopcy, wszyscy na mury! — krzyknął. — I strzelcy wbiegli na wierzch murów i podnieśli strzelby. Strzały padły z jednej i drugiej strony, jeden ze strzelców potoczył się z drabiny na murawę dziedzińca zaścilającą, lecz jednocześnie padło czterech napastników. Czterech, na liczbę szczupłą, w jakiej przyszli, było to za wiele. Wódz zaklął gniewnie, wydał jakiś rozkaz i zanim załoga Michała zdążyła powtórnie nabić broń, Irenka ujrzała, jak umykać poczeli. Pobrawszy leżących towarzyszy uchodzili w nieładzie ku lasom, strzelcy dali ognia za nimi, ale strzały nie dosięgły żadnego, prędzej tylko zaczęli umykać. Teraz Irenka zbiegła na dziedziniec, nie lękała się już przeszkadzać Michałowi, a chciała się dowiedzieć, czy ten, co stoczył się z drabiny, nie jest ranny śmiertelnie.

(d. c. n.)

## PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

Przyrowadzono nieszczęśliwych niewolników, okutych wkajdany, a majtkowie przemieśli na brzeg ładunek okrętu. Toucas z rozkazu kapitana obliczał wartość dziewięćdziesięciu pannos w płócienkach, błyskotkach, w broni, w beczkach rumu i gorzałki, potem Giliasse oglądał każdego murzyna z osobna; po skończonym obrachunku i opatrunku, Gobi własnoręcznie odwiązywał niewolnika

i oddawał go w ręce kapitana, urzędnicy jego zabierali towary, a majtkowie odprowadzali murzyna na okręt, gdzie mu nakładano kajdany. O zachodzie słońca ze trzystu tych nieszczęśliwych leżało, jak bydło na rzeź wzięzione, na dnie Osy, kapitan Noel zacierał ręce, mówiąc sam do siebie:

— Jutro wieczorem wyruszamy.

Pomimo zapadającej nocy targ nie ustawał, kapitan jednak oddalił się i poszedł do swojej kajuty, chcąc wypocząć nieco po całodziennych trudach, gdy na progu spotkał porucznika Dawisa.

— Kapitanie—szepnął młody człowiek—dwóch krajowców przybyło z wiadomością, że niedaleko od ujścia Rio das Mortes zarzucił kotwicę okręt, że trzy razy większy od naszego.

— I cóż ty na to, poruczniku?— rzekł Noel niespokojnie.

— Ja sędzę, że to musi być statek angielski, wysłany na odszukanie fregaty *Walczeńej*, a w takim razie...

— W takim razie—dokończył kapitan, zgrzytając zębami—wpadniemy w pułapkę. Zeby tylko ta wiadomość nie doszła do króla Gobi.

— Zdaje się, że ci murzyni nie mieli jeszcze czasu się z tém wygadać. Domyślali się zapewne, jak ważną jest dla nas ta sprawa i najprzód przyszli do mnie, żądając butelki gorzałki za wyjawienie ważnej tajemnicy.

— Trzeba ich koniecznie zatrzymać, żeby się to nie rozeszło.

— Kazałem naszym ludziom, aby ich spoiłi.

— To dobrze; niech tu siedzą do rana. Jeżeli wiadomość się nie sprawdzi, to napędzimy tych hultajów, którzy po prostu chcieli może wyłudzić od nas parę butelek gorzałki. Ale jeżeli to prawda, musimy przedsięwziąć najenergiczniejsze środki, a przede wszystkim dopilnować, ażeby murzyni się o niczém nie dowiedzieli.

— Rozumiem to doskonale, kapitanie i rozporządziłem się w tym względzie, nie czekając rozkazów.

— A teraz, poruczniku, weźmiesz z sobą trzech ludzi i popłyniesz aż do ujścia rzeki

Rio das Mortes. Zabierz moję lunetę nocną i rozpatrz się dobrze na wszystkie strony, a jak tylko spostrzeżesz cośkolwiek podejrzanego, daj mi znać przez którego z majtków, sam zaś pozostań na stanowisku aż do rana.

— Kapitanie, czy wolno mi się odezwać?

— Mów.

— A gdyby to była prawda, gdybyśmy tu mieli na karku fregatę angielską?

— Chybaby nas kto zdradził w Bordeaux, w Brazylii, lub w San Paolo de Loanda.

— A więc gdyby tak było, cóż pocniemy?

— To rzecz bardzo prosta; jutro wieczorem cały nasz ładunek będzie na okręcie, a w nocy zapalimy pod kotłem i para uniesie nas daleko z przed nosa tych napastników.

— Ale jeżeli fregata nas wykryje jutro rano i stanie w poprzek przed nami u wejścia przystani?

— A to niech лихо porwie Osę. Wypuszczę murzynów, weźmiemy wszyscy broń na ramię, zabierzemy amunicyą i wysadzimy okręt nasz w powietrze, a sami zapuścimy się w głąb ładu. Któż wie, poruczniku—dodał kapitan szyderskim tonem—może jeszcze założymy gdzie jakie nowe państwo afrykańskie.

— Przychodzi mi inny pomysł do głowy—rzekł młody porucznik—nie odpowiadając na żarcik przełożonego.

— Ciekawym tego pomysłu.

— Jeżeli to rzeczywiście fregata angielska, czy nie lepiej byłoby podpalić pod kotłem téj nocy i wyruszyć przynajmniej na parę godzin przed wschodem słońca. Ten statek nie może się do nas zbliżyć, nim się rozwidni i tym sposobem uratowalibyśmy się niewątpliwie.

— Może to i dobra rada, poruczniku; widzę, że w młodej twojej głowie nie brak zdrowego rozsądku. Lepiej już wyrzec się reszty murzynów, niż tak nędznie skończyć. Jedźże czempredź i przekonaj się, czego się mamy trzymać, a ja tu w każdym razie przygotuję wszystko do drogi.

— Do widzenia, kapitanie.

— Do widzenia, moje dziecko—rzekł kapitan Noel i gorąco uściskał jego rękę. Żelazny ten człowiek, który nie rozczulał się

nigdy na widok cierpień nieszczęśliwych murzynów, miał jednak w sercu uczucie przywiązania dla młodego swego krewnego i w tej chwili był prawie rozrzuwiony.

W pięć minut później, porucznik Dawis i trzej majtkowie, uzbrojeni od stóp do głowy, wsiadli na lekką łódkę i odpłynęli wzdłuż brzegów łądu. Jednocześnie prawie dwóch ludzi, ukrytych na brzegu w krzakach i zarosłach, puściło się łądem w tym samym kierunku małą ścieżeczką, wydeptaną przez pastuszków, pędzących bydło do rzeki. Byli to dwaj młodzi pasażerowie Osy, Barthet i Guillois, którzy wysiadłszy na łąd wraz z innymi, przez cały dzień przypatrywali się z głębokim politowaniem załatwianiu spraw handlowych pomiędzy kapitanem i afrykańskim władcą. Znużeni tym smutnym widokiem, bolejąc nad tem, że nie mogli uratować nieszczęsnych ofiar takiego bezprawia, powrócili wieczorem na statek i przypadkiem podsłuchali rozmowę kapitana z porucznikiem. W téjże samej chwili porozumieli się obaj jednem wejrzeniem, jednem ściśnięciem ręki i nie przemówiwszy do siebie ani słowa, pochycili broń w rękę i znowu udali się niepostrzeżeni na wybrzeże, gdzie z gorączkowym pośpiechem odbywały się dalsze targi i uprowadzanie na okręt niewolników.

— Cóż teraz poczniemy? — odezwał się Guillois, gdy już mógł być pewny, że go nikt nie usłyszy.

— Najpierw — odrzekł Barthet — przekonamy się, czy wieść o tym okręcie jest prawdziwa.

— Za chwilę będziemy wiedzieli, czego się trzymać pod tym względem; ale cóż potem?

— Co mamy czynić, jeżeli w rzeczy samej obaczymy przed sobą okręt wojenny?

— O to właśnie pytam.

— Położenie nasze jest rzeczywiście nadzwyczaj utrudnione. Z jednej strony daliśmy słowo, że nie będziemy szukać sposobności do ucieczki i nie zdradzimy niegodziwych spraw kapitana Osy, ale z drugiej uczucie ludzkości nakazuje nam użyć wszelkich sposobów, ażeby przeszkodzić spełnieniu zbrodni, na którą patrzymy od rana.

— Ale przyrzeczenie jest rzeczą świętą... szepnął Barthet.

— Mój drogi — odparł Guillois — daruj, ale ja mam troszkę odmienne wyobrażenie o honorze. Ten człowiek nas w pole wyprowadził, nie powinien był nas zabierać na okręt prowadzący handel niewolnikami.

-- Zmuszony był do tego; teraz rozumie doskonale, że to Rontonak wpakował nas gwałtem na ten okręt, ażeby zarządowi marynarki oczy zamydlić.

— Niezawodnie; ale kapitan mógł przecież nas wysadzić na łąd w Hiszpanii, na wyspach Zielonego Przylądku, gdziekolwiek wreszcie; tysiące miał sposobów pozbycia się nas jaknajprędzej.

— Wszystko to łatwo mówić, ale trudniej daleko wykonać; wszak pojmujesz, że nie mógł się zdradzić od razu na samym początku podróży; jakżeby nam wytłómaczył, dla czego się nas chce pozbyć?

— Tak gorliwie bronisz tego hultaja, mój drogi, jakgdybyś mu sprzyjał.

— Wiesz dobrze, że tak nie jest; ale trzeba wejść i w jego położenie i nie oskarżać go niesłusznie.

— A ja ci powiadam — rzekł Guillois stanowczo — że słowo wymuszone takimi groźbami nie obowiązuje nikogo i najuczciwszy człowiek złamać je może ze spokojnem sumieniem. Jaktó! złodzieje, rabusie, kładą mi nóż na gardle i każą dać słowo, że ich nie wydam, a ja mam potem patrzeć spokojnie na takie zbrodnie, nie starając się im przeszkodzić? Ale sumienie mi mówi, że i jaby w takim razie stał się współnikiem tych bezpraw.

— Może masz i słuszość, przyjacielu.

— Bądź pewny, że się nie mylę. Ty jesteś wojskowym, i masz na myśli położenie jeńców wojennych; ale to zupełnie co innego; jeniec wojenny ma do czynienia z nieprzyjacielem, szanującym także prawa honoru, a my tu jesteśmy w mocy prawdziwych rabusiów, nie zapominaj o tém.

— Wszystko to prawda, a jednak czuję wstręt nieprzewyciężony do złamania słowa danego, choćby takiemu hultajowi.

— Słowa wymuszonego, pod groźbą śmierci; to zmienia całkowicie postać rzeczy.

W każdym razie, jeśli masz takie skrupuły, ja gotów jestem działać na własną rękę bez twojej pomocy. Spodziewam się, że nie masz przecież obowiązku sumienia przeszkadzać mi wtém i bronić bezpieczeństwa kapitana.  
(d. c. n.)

### Zadanie konikowe. (Edward Wr.)

m	ł	ę	u	n	a	e	s
p	ł	a	u	ł	ł	ł	ł
t	ł	ł	ł	ł	ł	ł	ł
s	ł	ł	ł	ł	ł	ł	ł
s	ł	ł	ł	ł	ł	ł	ł
z	ł	ł	ł	ł	ł	ł	ł
w	ł	ł	ł	ł	ł	ł	ł
m	ł	ł	ł	ł	ł	ł	ł

### Łamigłówka liczbowa. (A. P.)

Z dziesięciu liter nazwisko sławnego hełmana polskiego. Przesztawiając litery, otrzymujemy:

- 1, 7, 9, 6, 5, Monetę.
- 3, 10, Zwierzę.
- 1, 7, 2, 3, 4, Imię starożytnego władcy.
- 3, 3, 6, 4, Miasto w Egipcie.
- 4, 3, 9, Zwierzę wodne.
- 9, 4, 3, Rzecz płynącą po wodzie.
- 4, 3, 5, 7, 9, Część dnia.
- 9, 10, 4, Oznakę smutku.
- 4, 7, 5, Rzekę w Niemczech.

### Rozwiązania do Numeru 21-go.

#### Z a g a d k i. Tajemnica.

#### Łamigłówki krzyżkowej:

B  
O  
W I L N O  
O  
N  
I  
A.

#### Łamigłówki zgłoskowej:

Lublin  
Ebro  
Narew  
Ara  
Rafael  
Taiti  
Order  
Wendowie  
Ilion  
Chmielnik  
Zara

Lenartowicz — Nowa Lirenka.

#### Odpowiedzi od Redakcyi.

Józiovi Z. w Rakowie. Bardzo to ładnie, kiedy chłopczyk dziewięcioletni czyta z upodobaniem poważniejsze opisy takie, jak *Wycieczka do Podhorzec*. Nic też dziwnego, że taki chłopczyk lubi przytém i zabawniejsze rzeczy, a zwłaszcza komedyjki; ale wszakże i tych nie brak w naszym Piśmie. W r. b. podaliśmy już trzy, z tych jedną dłuższą, czwartą mamy w pogotowiu i rozpoczniemy w jednym z następnych Nrów. Spodziewamy się, że i ta najmniej od poprzednich podoba się kochanym czytelnikom; bo będą w niej różne sceny bardzo śmieszne.

Hali w Tuczy na Ukrainie. Najpierw serdecznie dziękujemy mamie, że nie chce pomagać córeczce w pisaniu listów; nie to nie szkodzi, choć przy tém pisaniu czasem się troszkę gorąco robi, ale taki liścik, obmyślony i ułożony przez kochaną małą dziewczynkę bez niczyjej pomocy, największą nam sprawia przyjemność. Wszyscy piszący do *Wieczorów Rodziny* także niezmiernie kochają swoich młodych czytelników i cieszą się każdym dowodem ich życzliwości. Na zapytanie, czy zawsze Pismo to będziemy drukować, odpowiemy tylko tyle, że je wydawać będziemy póty, póki nam życia i sił starczy, i nie zabraknie czytelników, a tego ostatniego nie potrzebujemy się lękać, sądząc z tylu miłych liścików. Wszystkie łamigłówki trafnie odgadnięte, a nadesłane kryształowe bardzo dobre i chętnie je wydrukujemy. Stasia S. przesyła ukłony za naszym pośrednictwem.

Gedyminowi R. Rozwiązanie łamigłówki trafne i porządnie napisane. Na drugi raz prosimy o dłuższy liścik.

#### OD REDAKCYI.

Prenumeratom półrocznym i kwartalnym przypominamy wczesne złożenie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.

# PRZY KOLEBCE.

Słowa St. Jachowicza. Muzyka J. Czubskiego.

Andante.

Śpiew.

Śpij dzie - ci - no, śpij ko - cha - nie, niech przy gło - wce  
Przyjdź a - niół - ku tu w go - ści - nę i po - ko - łysz  
Śpij dzie - ci - no, śpij ko - cha - nie, niech przy gło - wce

Piano.

a - niół sta - nie, gło - sem śli - cznym ci za - śpie - wa,  
mi dzie - ci - nę, lek - ko jak wie - trzy ki ho - że,  
a - niół sta - nie, tkli - wym gło - sem ci za - śpie - wa,

ze - byś by - ła mi *diminuendo* gło - sem śli - cznym  
co ko - ły - szą kwia - szczę - śli - wa, lek - ko jak wie -  
bę - dziesz, bę - dziesz mi szczę - śli - wa, tkli - wym gło - sem

ci za - śpie - wa, ze - byś by - ła mi *pp* *diminuen do* szczę - śli - wa.  
trzy - ki ho - że, co ko - ły - szą kwia - ty bo - że.  
ci za - śpie - wa, bę - dziesz, bę - dziesz mi szczę - śli - wa.